Leszek Żebrowski. DoRzeczy, nr 22, 25-31.05.2020 r.



Obarczając Polaków z granatowej policji nieudowodnionymi winami i odciążając Niemców, Jan Grabowski wybrał drogę na skróty, głównie umysłowe

Najnowsza książka Jana Grabowskiego pt. „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów” (Wołowiec 2020} jest kontynuacją jego wcześniejszej twórczości, kierującej uwagę czytelnika na rzekomy straszliwy konflikt dwóch narodów: polskich zbrodniarzy i żydowskich ofiar. To jakby wyższy poziom rozważania o zagładzie, gdzie ideologia niemiecka schodzi w cień, przechodząc w lokalny konflikt narodowy. Grabowski wyraża to wprost: „Tak się jednak składa (czego starałem się dowieść na stronach tej książki), że granatowa policja miała niebagatelny udział w wymordowaniu polskich Żydów i wchodzi tym samym w pole zainteresowania badaczy Holokaustu. Więcej, granatowa policja stanowiła istotny, niekiedy niezbywalny element niemieckiej strategii eksterminacji europejskich Żydów.

Na dodatek polscy policjanci często mordowali Żydów na własną rękę, wykazując się przy tym ogromną inicjatywą. Żal tylko, że w sporze o polską niewinność mało kto pamięta o niepoliczonych dziesiątkach, setkach tysięcy żydowskich ofiar granatowej policji, ludziach, którzy mogli ocaleć, którzy mieli sporą szansę na przeżycie wojny..." (s. 389). To ma być podsumowanie jego badań.

Na tym powinno się właściwie zakończyć recenzję, ponieważ ideologiczna pasja i ukierunkowana propaganda wzięły górę nad nauką, czyli próbą ustalenia, jak to właściwie było. Co to znaczy kilkaset tysięcy? To między 300 a 900 tys., czyli średnio 600 tys. ofiar „polskich policjantów". Do tego powinniśmy dodać wcześniejsze „odkrycia" tego autora, jakoby polscy chłopi zabili 200 tys. Żydów, co zresztą natychmiast zostało zakwestionowane i liczni oponenci wykazali, że są to wielkości całkowicie przez niego zmyślone. Idąc dalszym tokiem takiego rozumowania, to przecież i polskie podziemie też jest oskarżane o masowe zbrodnie w ramach zagłady. Kilka lat okupacji, kilka organizacji (prawie całe Polskie Państwo Podziemne), zatem pewnie też ze 200 tys. i już mamy 1 min „polskich ofiar"!

Widać jednak u autora swoiste „dwojewierie". W innym miejscu Grabowski pisze bowiem (s. 111), że „od wiosny 1942 do wiosny 1943 ogromna większość polskich Żydów została wymordowana w obozach zagłady Do obozów zagłady Polacy jednak wstępu nie mieli (nawet granatowa policja) z oczywistych względów, zatem masowe zbrodnie były tam dokonywane wyłącznie przez Niemców i ich pomocników z formacji sojuszniczych, ale nie Polaków. W ogóle autor nie może się ostatecznie zdecydować w sprawie winy.

I tak np. uważa, że „skala tego »współsprawstwa« była niesłychana - swoją wydajnością mordercy w granatowych mundurach potrafili dorównać kolegom, niemieckim żandarmom i szupowcom” (s. 11). Czyli winni są pół na pół: Niemcy i Polacy. I z takim emocjonalnym sposobem rozważań mamy cały czas do czynienia na kartach tej książki.

ZA TRUDNA STATYSTYKA?

Oceniając historyczną pracę autora, który ma ambicje naukowe, należy wziąć pod uwagę to, co nazywa się warsztatem, czyli umiejętność posługiwania się odpowiednimi narzędziami. Do nich należą nauki pomocnicze, w tym statystyka. Z nią Grabowski ewidentnie sobie nie radzi, traktując to narzędzie całkiem dowolnie. Konieczna jest również znajomość epoki, czyli szerokie historyczne tło. Co się dzieje w innych krajach okupowanych przez Niemców, którzy wszędzie prowadzą politykę eksterminacyjną; jakie tam są zachowania podbitej ludności i jakie wykształciły się tam formacje kolaboracyjne, jaka była ich rola z zagładzie. Zjawisko masowej grabieży dóbr, opisywane przez autora, nie było przecież przypadłością Polaków i nie powinno

się tego izolować z otoczenia, pomijając w dodatku chronologię.

Niemcy z terenów wcielonych do Rzeszy już na początku okupacji wyrzucili ok. miliona Polaków, grabiąc ich mienie ruchome i nieruchome. Podobnie było pod drugą okupacją, sowiecką. Tam załadowano do bydlęcych wagonów kilkaset tysięcy Polaków i wywieziono ich na Sybir. Mogli wziąć ze sobą jeszcze mniej dobytku, niż pozwalali na to „u siebie" Niemcy. Tam obłowili się przede wszystkim niemieccy sąsiedzi i volksdeutsche. Pod Sowietami też były grabieże, ale czynili to głównie sąsiedzi żydowscy, którzy na masową skalę pomagali dekonspirować „wrogów ludu" przed NKWD i uczestniczyli w sporządzaniu odpowiednich list. Jest wystarczająco wiele zachowanych jednoznacznych przekazów o tym, mówiących, aby to zjawisko pominąć milczeniem.

Ponadto autor w ogóle nie odnosi się do zjawiska powszechnej grabieży w gettach i większych skupiskach żydowskich, dokonywanej przez pobratymców. Nie ma tu miejsca na szerszą analizę tego zjawiska, ale warto zwrócić uwagę, że nawet oficjalne instytucje w gettach, podlegające Judenratom, nastawione były nie na pomoc innym nieszczęśnikom, lecz na bezwzględny rabunek: „Sekcja żydowska Warszawskiego Wydziału Zdrowia wróciła od niemieckiego dowództwa ze ścisłym rozkazem utworzenia »jednostek higienicznych«, których celem miało być odwszenie brudnej populacji żydowskiej. Ludzie mieli być odwszawiani w publicznych łaźniach dezynfekcyjnych. Wiosną i latem 1941 r. jednostki te stały się nową plagą getta. »Dezynfektorzy« pojawiali się na danej ulicy, z pomocą policji zamykali budynek, a następnie przechodzili od mieszkania do mieszkania, zmuszając ludzi do wyjścia, po czym odprowadzali ich pod strażą do łaźni dezynfekcyjnej. Podczas nieobecności mieszkańców dezynfektorzy lub policja rabowali mieszkania, jednocześnie przeprowadzając ich dezynfekcję. Cuchnący środkiem dezynfekcyjnym, odwszeni mieszkańcy wracali z łaźni do swoich mieszkań, które cuchnęły innym środkiem i były obrabowane z większości rzeczy. Ludzie bali się policji i dezynfektorów bardziej niż epidemii tyfusu lub duru brzusznego - nie było władz, do których mogliby się zwrócić. Celem dezynfektorów były głównie duże budynki z dużą liczbą mieszkańców, gdzie można było więcej ukraść" (David J. Landau, alias Dudek, Janek and Jan, „Caged: A Story of Jewish Resistance" Sydney 2000, s. 78). Rabunki i gwałty były domeną nie pojedynczych, zdemoralizowanych osobników, ale profesjonalnie stworzonych, bezkarnych w istocie struktur, co niekiedy kończyło się nawet morderstwami popełnianymi na opornych. Warto tu wspomnieć Urząd do walki z Lichwą i Spekulacją w warszawskim getcie (którym kierował rabin Abraham Gancwajch) i jego znienawidzonych siepaczy. Urząd ten był powszechnie zwany żydowskim gestapo.

Taki sam los spotykał bogatych, od dawna zasymilowanych w swych krajach Żydów, nagle wywożonych na teren „Generalnej Guberni" (tym określeniem posługuje się Grabowski). Oni mieli prawo zabierania ze sobą całych wagonów wszelakich dóbr: mebli, dywanów, futer, wypakowanych waliz. Na stacjach końcowych ich dobytkiem bardzo pieczołowicie „opiekowali

się" funkcjonariusze miejscowych Judenratów.

Tak było m.in. w Ostrowcu Świętokrzyskim: „W lutym, marcu i kwietniu 1941 r. przybyło z Austrii do Generalnej Guberni łącznie 10 transportów Żydów po 1000 osób każdy. [...] Jak wynika z zachowanych dokumentów, szczególnie smutnie osławiony Judenrat ostrowiecki przyczynił się do rychłego »pozbycia się« ze swego terenu niewygodnych wysiedleńców wiedeńskich, nie omieszkawszy przy tym zbyt pieczołowicie zaopiekować się ich dobytkiem, bagażami, walizkami (5 tys. sztuk) itd."

Dla przedniej europejskiej inteligencji, ludzi od pokoleń zasymilowanych i zintegrowanych ze społecznościami, w których mieszkali, bez znajomości hebrajskiego i jidysz, było to przeniesienie do epoki jak ze średniowiecza, do świata, który znali być może z dawnych opisów, ale nie z autopsji.

„Mieszkańcy Wiednia znaleźli się nagle w małych mieścinach, a nawet zapadłych wioskach, w nader prymitywnych warunkach, gnieżdżąc się w izdebkach kurnych chałup wiejskich lub nawet stodołach. Utrzymywali się z zamiany przywiezionych rzeczy, zwłaszcza odzieży, na żywność. Niektórzy z nich otrzymywali w dalszym ciągu paczki żywnościowe i inne od swych »aryjskich« przyjaciół i krewnych z Austrii. Wśród wysiedleńców była też znaczna liczba przedstawicieli wolnych zawodów (lekarze, dentyści, inżynierowie itd.), a między nimi spora rzesza bardzo wybitnych jednostek: profesorów, naukowców. Nagminnym zjawiskiem była w pierwszym okresie wędrówka wiedeńczyków ze wsi i małych osad do większych miejscowości. Wprowadzało to zamęt i wyczerpywało skromne mimo wszystko zasoby nieszczęsnych wysiedleńców. [...] Na podkreślenie zasługują częste stosunkowo fakty (np. w powiecie opatowskim) występowania miejscowych chłopów w obronie »swoich« wiedeńczyków, zwłaszcza lekarzy i ich rodzin, domagających się pozostawienia ich w spokoju na miejscu. Oddawali im swoje chałupy i zaopatrywali w artykuły żywnościowe. W niektórych wsiach nawet wójtowie, pod naciskiem miejscowych chłopów, specjalnie interesowali się losem Żydów wiedeńskich, udzielając im daleko idącej pomocy" (Adam Rutkowski, „Martyrologia, walka i zagłada ludności żydowskiej w dystrykcie radomskim podczas okupacji hitlerowskiej, „Biuletyn ŻIH" 1955, nr 15-16, s. 93-94).

„Drastyczne wydarzenia miały miejsce również w małych, prowincjonalnych gettach. Oto np. niejaki Lubicz, członek żydowskiego Ordnungsdienstu (»policji«) w getcie w Międzyrzecu Podlaskim, a następnie komendant tego getta, wpadł na pomysł, aby Żydów ograbiać wcześniej, nie czekając na ich odstawienie do obozu zagłady. Dotychczas Żydzi złapani w akcjach zabierali ze sobą pieniądze i drogocenności, które mogli ze sobą ukryć. Ogałacano ich dopiero z tego wszystkiego w Majdanku i Treblince. Lubicz natomiast zaproponował Niemcom,

aby ich ograbić i rozebrać do naga na miejscu, bo po co ten majątek ma wpaść w obce ręce. Żydów rozebrano do naga i tak wsadzono do wagonów. O tym, że była to jego inicjatywa, opowiadali niektórzy Niemcy, którzy nienawidzili takich zdrajców. Lubicz ograbił po tym magazyn z rzeczy lepszych, a gdy Niemcy się w tym zorientowali, zwalił winę na innych Żydów i ich rozstrzelano. Szóstą akcję [eksterminacyjną] Żydzi nazwali »małą Treblinką«" (Lejb Goldberg rei. ŻIH 301/3502).

ZUPEŁNIE INNY OBRAZ

Takich przekazów, pochodzących wprost od obrabowanych, jest zbyt wiele, aby je całkowicie ignorować. Podobnie było z mieszkaniami Żydów wysiedlanych do gett i pozostawionym w nich mieniem. Tu również, gdy się poważnie traktuje źródła, pojawia się zupełnie inny obraz sytuacji. Starsze publikacje żydowskie, pozbawione jeszcze ideologicznego zacietrzewienia, opisywały to zjawisko uczciwie. I tak w Drobinie (rejencja ciechanowska): „Warsztaty rzemieślnicze i sklepy zabrane zostały Żydom, łącznie z towarami i materiałami, które się w nich znajdowały. Również z mieszkań prywatnych hitlerowcy rabowali meble, ubrania, bieliznę, pościel, a nawet naczynia kuchenne. W Makowie Mazowieckim: całe mienie pożydowskie, zgromadzone w jednym miejscu, przekazane zostało do dyspozycji ludności niemieckiej miasta".

W Sierpcu: „Do domów pożydowskich okupant przesiedlił ludność polską, a z kolei zabudowania po Polakach przekazywane były Niemcom".

Trudno sobie wyobrazić, że w innych miejscach było inaczej i polityka niemiecka nie była w tych sprawach skoordynowana na szczeblu centralnym. Niemieccy oprawcy, stosując perfidną zasadę „dziel i rządź”, wykorzystywali podziały wśród nieszczęsnych Żydów i dodatkowo je tworzyli, nagradzając swych gorliwych pomocników, odraczając w nagrodę termin ich kaźni: „Smutną sławą cieszył się wśród ludności getta w Nowym Dworze Judenrat, wykonujący zawsze pilnie polecenia okupanta. Toteż hitlerowcy zrewanżowali się za świadczone im usługi. Wszystkich członków Judenratu, wraz z ich rodzinami w liczbie 42 osoby, hitlerowcy ulokowali w końcowym wagonie ostatniego transportu [12 XII [1942]], a na stacji kolejowej w Warszawie wagon ten odczepili od całego składu i wszystkich jego pasażerów odprowadzili do getta w Warszawie. Takiego traktowania, takiej »łaski« oprawców, nie dostąpił nawet prezes Judenratu w Łodzi, osławiony Chaim Rumkowski, którego hitlerowcy zawieźli razem z Żydami z getta łódzkiego do obozu zagłady w Oświęcimiu" (Michał Grynberg, „Getta w rejencji ciechanowskiej", „Biuletyn Ż1H" 1980, nr 4/116).

Dodajmy do tego jeszcze bezczeszczenie zwłok i rabunek grobów żydowskich: „Grabarze otwierają groby, wyjmują biżuterię i złote zęby. [...] Na cmentarzach dzieją się niewybaczalne

rzeczy, nie do opisania. Masowe mogiły i zbezczeszczenie zwłok przez doły społeczne, które wrzucają je do grobów jak psy. To nie wszystko. Okazuje się, że w nocy otwierają groby i wyjmują trupom złote zęby i kradną całuny. Niedawno prowadzono poważne dochodzenie na temat udziału żydowskiej policji w owych rabunkach. Jednym słowem: samo dno".

To nie są opinie zatwardziałych antysemitów. To Emanuel Ringelblum, którego świadectw Grabowski nie kwestionuje, ale tych dla siebie niewygodnych już nie zauważa.

WMAWIANIE ANTYSEMITYZMU

Zło nie ma narodowości i nie da się - jak robi to Grabowsld - opisać Polaków wyłącznie jako sprawców, a Żydów wyłącznie jako ofiary. Bywało różnie i trzeba pisać prawdę, inaczej dążymy do zakłamania. Grabowski sprowadza jednak ówczesną sytuację do skrajnie nieprawdziwego obrazu, jakoby był to właściwie konflikt polsko-żydowski, w którym źli Polacy rabują i mordują dobrych Żydów, oni zaś są wyłącznie ofiarami. Co więcej, widać nieuprawnione niczym twierdzenia, jakoby Niemcy zabijali Żydów praktycznie tylko „na rozkaz i pod presją" (czyli w ten sposób są jakoś moralnie usprawiedliwieni), motywy Polaków (z granatowej policji) miały zaś... „głębsze korzenie". I Grabowski je oczywiście ustalił. Miałyby to być antysemityzm, „od wieków podsycany przez Kościół katolicki", oraz „indoktrynacja nacjonalistyczna" (s. 377). I wszystko jasne? Chyba jednak nie, skoro to Polska przez kilka stuleci (!) przyjmowała Żydów, wyrzucanych praktycznie z całej Europy, nadając im bardzo szeroką autonomię, pozwalającą zachować własną tożsamość i religię, zwalniając ich z wielu powinności państwowych. Nie było też w Polsce (również pod zaborami) zjawiska przymusowej polonizacji, dobrze znanego w krajach ościennych jako germanizacja czy rusyfikacja. WIIRP ogromna część ludności żydowskiej nie nauczyła się nawet polskiego języka, dzieci i młodzieży nie posyłała do polskich szkół, nie integrując się z polskimi sąsiadami. Miało to później, podczas okupacji niemieckiej (1939-1945), fatalne konsekwencje. Jednak Grabowski i tak uważa, że „wielu Żydów poradziło sobie bez polskiej pomocy, wykazując się ogromną przedsiębiorczością i samodzielnością" (s-13).

Pamiętajmy jednak, że wszystko odbywa się w warunkach zbrodniczej niemieckiej okupacji, kiedy ruch ludności jest całkowicie kontrolowany, są godziny policyjne, sprawdzanie dokumentów, zaświadczeń i przepustek. Biurokracja niemiecka jest ogromna i skrupulatna. Żywność i prawie wszystkie towary są reglamentowane. Do tego należy uwzględnić warunki klimatyczne. W lecie pojedyncza osoba lub mała grupka jest w stanie przetrwać (np. w lesie) kilka dni bez żywności. Ale na dłużej? Bez jedzenia, ciepłej odzieży, lekarstw? Z tez Grabowskiego wynika jednak, że Żydzi mogli przetrwać właściwie bez Polaków, bo ich pomoc była wyłącznie... zagrożeniem. Tylko co to ma wspólnego z nauką historii, gdzie wnioskowanie musi być uprawnione i oparte na ustalonych faktach?

Dopiero trzecim istotnym czynnikiem według Grabowskiego miała być chęć grabieży.

Mimo że już wiemy (i potwierdza to mimochodem sam Grabowski), że ogromna część zagłady dokonała się w obozach zagłady, czyli bez udziału, a nawet biernej obecności Polaków, to jednak pozwala sobie na takie stwierdzenia, które ich udział wytwarzają. Opisując likwidację getta w Węgrowie (a są już dostępne publikacje rzetelnie to przedstawiające), pozwala sobie na zapis o udziale wszystkich mieszkańców miasteczka: „W ciągu kilku godzin na oczach wszystkich mieszkańców na ulicach miasta oraz na pobliskim kirkucie wymordowano od tysiąca do dwóch tysięcy ludzi" (s. 164). Wszyscy to wszyscy, czyli byli wszędzie i przy każdej egzekucji. Ze źródeł zaś wiemy, że ofiar było ok. tysiąca i trwało to kilka tygodni, a nie jeden dzień, w którym teoretycznie można byłoby zgromadzić część (bo przecież nie wszystkich) mieszkańców i kazać im na to wszystko patrzeć.

Trudno poruszać tak rozgałęziony temat, nie mając pojęcia o polskiej konspiracji antyniemieckiej. Autor wprawdzie wie, że nawet Niemcy uważali, iż co najmniej 30 proc. granatowych policjantów było związane z polskim podziemiem. Jeden z kolejnych komendantów - Aleksander Reszczyński (lepiej zorientowany, bo sam był współpracownikiem kontrwywiadu KG ZWZ-AK) - szacował, że było to nawet 50 proc. Granatowych na terenie całej Guberni było maksymalnie ok. 15 tys., zatem na tle „policji żydowskiej" było ich kilkakrotnie mniej (a przykładowo tylko w Paryżu - zupełnie inaczej okupowanym - było ok. 20 tys. policjantów francuskich). W dodatku „policja żydowska" według świadectw tych, którzy przeżyli, była na ogół jeszcze bardziej okrutna i bezwzględna niż Niemcy. Oto np. wstrząsające świadectwo Chila Rozenfelda z Ostrowca Świętokrzyskiego o zagładzie tamtejszych Żydów (A ŻIH, 301/4428, relacja z 1 lutego 1950 r., a więc zaledwie kilka lat po opisywanych wydarzeniach). To był bezpośredni świadek, który dożył końca wojny dzięki Polakom. Takie - typowe przecież - relacje żydowskie Grabowski pominął:

„Policja żydowska - od momentu jej powstania byli gorliwsi od Gestapo; Nieszczęśliwi zmęczeni i spragnieni picia prosili żydowskich policjantów, by ci się zlitowali i podali im troszkę wody, policjanci żądali za wodę po 100 i 200 dolarów. Wodę dostali tylko ci, którzy dali żądaną sumę. Policjanci żydowscy krzyczeli do nieszczęśliwych: wam już wszystko jedno, pieniędzy [wam] nie trzeba; policja żydowska urządzała łapanki, a ludzi pobili do krwi; policja żydowska nadal znęcała się nad ofiarami hitlerowskiego terroru, w wielu wypadkach swoim sadyzmem przekroczyli samych gestapowców".

Nie jest to przypadek wyjątkowy, jest dla danych wydarzeń typowy i powszechny. To też była

policja, tyle że miała stały i bezpośredni dostęp do nieszczęśników, w przeciwieństwie do policji granatowej. Bez szerokiego tła, bez rozumienia, co i jak się wtedy działo, wszelkie wnioskowanie jest co najmniej ułomne i może być uznane za skrajnie nieobiektywne.

ZAKŁAMANIE A ZBADANIE

Wbrew pozorom Grabowski nie korzysta z bardzo szerokiej bazy źródłowej. Jest ona dość ułomna i nastawiona wyłącznie na wyłuskiwanie zdań i fragmentów, mogących służyć za podparcie jego tez, pochodzi z kilku czy kilkunastu miejscowości, z pominięciem innych, o wiele bardziej licznych. Przez odrzucanie źródeł przeczących jego twierdzeniom jest jednostronna i prowadzi donikąd. W dodatku widać jego nieporadność (czasem zaś ewidentnie złą wolę) - w 1941 r. nie było AK; brane na poważnie gazetowe „informacje", jakoby w niektórych oddziałach partyzanckich odbywały się specjalne okresowe „schwanzparady", polegające na rzekomym obnażaniu się, w celu poszukiwania osobników... obrzezanych, choć do partyzantki nikt przypadkowy nie trafiał (bo to była kwestia nie tyle zaufania, ile wprost życia i śmierci). Przeglądy czasem faktycznie robiono, ale wyłącznie z powodów higienicznych.

Zakłamał, a nie zbadał sprawę Marcelego Handelsmana i rzekome „listy proskrypcyjne" NSZ, podobnie jest ze sprawą ks. Trzeciaka i ks. Pudra. Nie potrafi właściwie opisać udostępnionych fotografii - tam, gdzie są wyłącznie granatowi, Grabowski dostrzegł Niemca, w dodatku dorobił mu w opisie mundur żandarmerii (s. 145). Na innym - fakt, że zdjęciu dziwacznym - osobnik w masce to „być może to ktoś schwytany przez pozujących dumnie do zdjęcia niemieckich i polskich policjantów" (s. 152). Nie wzbudza jego wątpliwości fakt, że wygląda bardziej na zbratanego z Niemcami niż ich ofiarę. Niemcy są zadziwiająco blisko, wprost się o niego ocierają, a u jego stóp leży spokojny policyjny pies...

No i osławione „sierpniówki" jako źródło wiedzy. Były to procesy komunistyczne, na podstawie zbrodniczego dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 r. (o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców narodu polskiego). Wszystkim oskarżanym na jego mocy o cokolwiek groziła kara śmierci. Nie było wówczas normalnego państwa, a stosowanie komunistycznego „prawa" urągało pojęciu praworządności. Dokumenty tam zgromadzone nie mogą być zatem jednoznacznym źródłem historycznym, powinny być weryfikowane z należytą starannością. Grabowski tak jednak nie uważa.

Złóżmy to wszystko na karb jego nieporadności i nieznajomości realiów okupacyjnych. To i tak aż nadto, aby jego opracowanie traktować jako wątpliwe i w sumie nieprzydatne. Jednak według niego nawet porównywanie roli policjantów żydowskich i polskich to już „teren

negacjonizmu Zagłady" (s. 386) - jedni są bowiem katami, a drudzy... ofiarami.

Ma on w swym dorobku wiele odkryć: „...polscy policjanci niejednokrotnie mordowali Żydów (często swoich sąsiadów, ludzi dobrze im znanych z lat przedwojennych) w tajemnicy przed Niemcami. [...] Niemcy, bezpośredni przełożeni granatowych policjantów, najczęściej nie mieli najmniejszego pojęcia o mordach dokonywanych przez polskich podwładnych" (s. 11). W ten sposób drastycznie kurczy się przestrzeń do obwiniania sprawców, czyli Niemców, przez redukowanie liczby ich ofiar (gdy już milion można zrzucić na karb Polaków); ich „usprawiedliwianie" wykonywanymi rozkazami; czy wprost „jedynie nadzór niemiecki działał w pewnym sensie hamująco [...] na zakres samowolnych działań polskich policjantów" (s. 359). Oczywiście to nie jest negowanie zagłady, tylko podmiana sprawców, zatem jej zafałszowanie. Teraz lepiej i wyraźniej widać, czemu miała służyć kilka lat temu światowa nagonka na polskie państwo, aby nie dopuścić do jakiejkolwiek penalizacji oczywistych kłamstw z tego zakresu. Mają bowiem pozostawać bezkarne.

Ciekawe, czy Grabowski zna stanowisko prof. Andrzeja Żbikowskiego z ŻIH w sprawie krytycznego podejścia do źródeł (fakt, że pojawiło się ono dopiero przy opisach kolaboracji Żydów z Niemcami podczas okupacji, ma tu drugorzędne znaczenie). Otóż, recenzując jedną z prac (zob. Alicja Jarkowska-Natkaniec, „Wymuszona współpraca czy zdrada? Wokół przypadków kolaboracji Żydów w okupowanym Krakowie" Kraków 2018), Żbikowski tak ocenia wykorzystanie materiałów śledczych i procesowych, dotyczących kolaboracji Polaków i Żydów z Niemcami:

„Tego typu materiały są bardzo trudne do analizy historycznej, szczególnie w sytuacji dużego dystansu czasowego, gdy żaden z przesłuchiwanych nie może swoich zeznań odwołać bądź uzupełnić. Pułapki czekające na badacza są zatem liczne. Jak z tego wybrnąć i czy autorka podołała temu zdaniu? Moim zdaniem tak, gdyż wybrała jedyną prawidłową metodę badawczą: brać za pewnik tylko te informacje, które znajdują potwierdzenie w kilku, całkowicie odrębnych źródłach.

A że wynik będzie wówczas mniej imponujący, mniej będzie przestępców i ich dowiedzionych zbrodni - cóż, taka dola uczciwego historyka".

Nie ma wątpliwości, że stosując się do tego zalecenia, Grabowski popadłby w swoistą niedolę i z jego książki „Na posterunku" pozostałoby bardzo niewiele. Chcąc być historykiem uczciwym, musiałby wykonać gigantyczną pracę na wielostronnych i wszechstronnych źródłach i dopiero

na nich oprzeć swoje wnioskowanie. Wybrał jednak drogę na skróty, w tym głównie umysłowe. Do tego trzeba zauważyć atmosferę grozy, w której musiał pracować w archiwach IPN: „Osobne podziękowanie należy się archiwistom z Instytutu Pamięci Narodowej, którzy w ciągu lat sprawili, że mogłem wydajnie pracować w czytelni przy pl. Krasińskich w Warszawie. Z oczywistych względów wolę nie wymieniać ich nazwisk i niniejszym składam im podziękowania zbiorowe" (s. 8). Co zaś im groziło za wykonywaną w ramach obowiązków pracę - nie podaje, ale można sobie wyobrazić komentarze i uwagi czytelników zagranicznych. Oto nawet niektórzy urzędnicy państwowi, ci uczciwi, ale zagrożeni (a takimi są archiwiści IPN, pomagający Grabowskiemu) pracują w warunkach terroru, prawie w podziemiu, ryzykując... no właśnie, czym?

W USA i w ogóle na świecie historią lat 1939-1945, głównie zagadnieniem zagłady Żydów w Europie, zajmują się przede wszystkim autorzy żydowscy. Redukują prawie wszystko do zagłady, a nie wojny jako takiej, bo ta jest tylko tłem. Jest to w jakiś sposób (dla nich) zrozumiałe, bo to jest „ich" historia, a nie powszechna. Mówił o tym w 1997 r. historyk amerykański Peter Novick (w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej"): „Być może w USA istnieje kilku nieżydowskich historyków zajmujących się holokaustem, ale to wyjątki - zdecydowana większość z nas to Żydzi".

W obecnej Polsce jest podobnie. Pozycje wyjątkowe, oparte na poważnej bazie źródłowej - jak choćby wydana rok wcześniej pionierska praca prof. Bogdana Musiała: „Kto dopomoże Żydowi..." (Poznań 2019) są dla Grabowskiego niewidoczne.

Opracował: Aron Kohn, Hajfa – Izrael